

BRONISŁAW WILDSTEIN

# Wojtek Sikora

**T**rudno pogodzić się ze śmiercią. A przecież z wiekiem przyzwyczajamy się do niej. Kiedy jednak odchodzi ktoś bliski, świadomość jego nieobecności okazuje się znowu tak dojmująca jak pustka po wszystkich minionych odejściach ludzi, którzy dzielili nasze losy. Teraz, kiedy umarł mój przyjaciel Wojtek Sikora, ciągle nie potrafię wmontować tego faktu w świadomość. Mimo że przez ostatnie lata nasz kontakt był sporadyczny i sprowadzał się głównie do telefonicznych rozmów.

Chciałem spotkać go, kiedy ostatni raz byłem w Paryżu, ściągnięty tam ciężkim stanem naszej francuskiej przyjaciółki. Okazało się jednak, że zbiegiem okoliczności właśnie wtedy musiał pojechać do matki, do Krakowa.

Odwiedziłem Maison-Laffitte, siedzibę Instytutu Literackiego, wydawcy „Kultury”, którego dyrektorem po śmierci Henryka, brata Jerzego Giedroycia, był długie lata Wojtek. Willa, stanowiąca centrum życia tej instytucji, zarówno mieszkania jej twórców, jak i miejsca ich pracy, była dziwnie pusta. Urzędowała w niej tego dnia wyłącznie następczyni Wojtka, Anna Bernhardt, która na zawsze pozostanie dla nas Oleńką, bo tak nazywaliśmy ją w Studenckim Komitecie Solidarności. Kilka lat działalności tego najważniejszego ośrodka przedsierniowej opozycji w Małopolsce scementowało naszą przyjaźń. W ciągłym zagrożeniu musieliśmy polegać wyłącznie na sobie, a doświadczenia sprawdzały międzyludzkie relacje. W większości wypadków mimo różnic, które naturalnie wraz z biegiem czasu zaczęły nas dzielić, przyjaźń z tamtego czasu przetrwała.

Wojtek, młodszy ode mnie o cztery lata, był ważnym i aktywnym działaczem opozycji. Był m.in. przedstawicielem podziemnego pisma „Robotnik”, co oznaczało także jego większe zaangażowanie w tamtym środowisku. Razem z paroma przyjaciółmi wydawali inny nielegalny periodyk, „Sygnał”, i robiliśmy, co mogliśmy, by przeciwstawić się groteskowemu koszmarowi PRL.

Minionego listopada piliśmy kawę z Oleńką i jej mężem w Maison-Laffitte, w salonie willi, w której poza nami i duchami miejsca nie było nikogo. Patrzyły na nas obrazy Czapskiego, Lebensteina, fotografie twórców „Kultury”, przez przeszkłone ściany raz było prawie białe słońce późnej jesieni i oczywiste było, że ten dom odszedł już do historii, a obecność badaczy i archiwistów, którzy w pawilonach wokół willi katalogowali i opracowywali minione dzieje, wzmacniało tylko to odczucie. Nie mogłem opędzić się od wrażenia, że także my, którzy osobiście znaleźliśmy twórców Instytutu zapadamy się w przeszłość. A przecież gdyby ktoś mi powiedział, że Wojtek umrze za kilka miesięcy, nie uwierzyłbym.

Stan wojenny dopadł nas za granicą, mnie w Holandii, Wojtka w Paryżu. Niedługo i ja przybyłem do stolicy Francji, gdzie wspólnie robiliśmy „Kontakt”, założony przez Mirka

Chojeckiego miesięcznik Solidarności, który był nie tylko pismem, ale i ośrodkiem nowej emigracji na Zachodzie. Z czasem Wojtek coraz bardziej wiązał się z „Kulturą” i dlatego, kiedy ja wróciłem do Polski, on został we Francji.

Jego szacowny wizerunek jako spadkobiercy Giedroycia wchodził niekiedy w kolizję z obrazami nieco awanturniczego młodzieńca z lat 70., bo przecież nasz życie nie redukowało się wyłącznie do politycznego zaangażowania. Przypominam sobie Wojtka, w trakcie juwenaliów zrywającego ze ściany gaśnicę pianową i rozpraszający nią ogromną kolejkę, która formowała się po świeżo dowiezione piwo. Gaśnica czas jakiś pozwalała mu opierać się gniewowi poszkodowanych, ale piana się skończyła i trzeba było bronić Wojtka przed rozjuszonym tłumem. Myślę, że i on mógł mieć poczucie dysonansu różnych wcieleń, którymi obdarzało nas przeznaczenie.

Najbardziej pamiętam go z pierwszego września 1980 r. Siedzieliśmy we trzech z Andrzejem Mietkowskim na Montelupich z sankcjami, czyli uwięzieni do procesu pod zarzutami, z groźbą kary śmierci włącznie. Siedzieliśmy osobno, mocno izolowani, nie wiedząc, co dzieje się na zewnątrz. Niespodziewanie przed południem zostałem wyprowadzony z celi i dopiero eskortowany do bramy wyjściowej zorientowałem się, że wychodzę na wolność. Andrzej stał na zewnątrz, pod murem. Czekaliśmy na Wojtka. Wreszcie metalowa brama z hałasem otworzyła się i w ciągle jeszcze letnie słońce wszedł Wojtek ze swoim specyficznym uśmiechem, wpinając kolczyk w ucho.

W tamtym czasie w PRL noszenie przez mężczyznę kolczyka było wyjątkowo ekscentryczne, toteż kiedy aresztowali nas, a zdarzało się to dosyć często, pierwszą reakcją na ozdobę Wojtka był rechot: „Zobacz, k...a, kółko sobie w ucho wprawił!” – a kolczyk wędrował do depozytu.

Obraz Wojtka pod bramą więzienia w jaskrawym świetle dnia wpinającego kolczyk w ucho pozostał dla mnie wizerunkiem nowego czasu, entuzjastycznego, gwałtownego i dramatycznego, który mimo wszystkich ponurych perturbacji oznaczał koniec komunistycznego zamknięcia.

Wojtek, emisariusz wolności. Tak pozostanie w mojej pamięci. 

